

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 80 GR.

KAMENA

miesięcznik literacki

ROK II

№

10

W I O S N A

Przy końcu zimy nadchodził szereg trzeźwych, powszednich, niczem nieznaczonych dni, dni pustych w smaku jak wielkie kołacze, wypiekane we czwartek na cały tydzień i leżące szeregiem na półce w zimne, białe, bezsłoneczne popołudnie.

Dni te wyrastały z swych dwunastu godzin jak wyrostki z przyciasnego ubrania i marzły — codzien dłuższe, w ciągnące się powoli popołudnie przedwiosenne, w jasne zmierzchy, które nie chciały się kończyć. Wtedy nagle z framugi tygodni wynurzały się Święta Wielkanocne i nagle w pustce dni zaczynał się czas formować w głębi swej barwą i sensem i na scenę wysuwał się cały ten wielki teatr Paschy, całe to wielopiętrowe misterjum prastarej egipskiej wiosny: to wspaniałe i niezglębione ucztovanie przy długich, białych stołach, w świetle srebrnych świeczników, migocących pod tchnieniem zbyt wielkiej i pustej nocy paschalnej. Te noce paschalne stały jak ciemne kulisy za otwartymi drzwiami domu i rosły od niepojętych i ogromnych spraw, podczas gdy nad lśniącą paradą stołu przystawały na chwilę w kolejności Biblii figury jej zodiaku: plagi egipskie i rozsypywały się w miał gwiazdny, mielone w żarnach tej nocy, która jest inna od wszystkich nocy roku.

Tak rosła ta obca i twarda noc wiosenna w swej głębi, od plag i klęski i wśród rechotu jej gwiazd rozmnażały się żaby, węże i robactwo wszelkie w rośnych przestworach i roila się na całej przestrzeni od tajnego dziania się, a w sednie jej otwierała się ciemność labiryntami pokoi, czerwonych komór, malowanych szuflad, w których gwałtownie umierali pierworodni, a drzwi zatrzaskiwały się za lamentem rodziców.

A gdy tydzień świąteczny mijał, wsuwano ten spiętrzony teatr Paschy z powrotem w indyferentną ścianę tygodni, która się wygładzała i ulice biegły znowu pusto i zapominano o wiosnie, której jeszcze wciąż nie było.

Aż pewnego dnia, przy końcu kwietnia, było przedpołudnie szare i ciepłe — ludzie szli, patrząc w ziemię, zawsze w ten metr kwadratowy wilgotnej ciemnej ziemi przed sobą i nie czuli, że bokami mijają drzewa parku, czarno rozgałęzione, pękające w rozlicznych miejscach w słodkie jątrzące się rany.

Uwikłane w czarnej, gałęzistej sieci drzew — szare, duszne niebo leżało ludziom na karku wichrowato — spiętrzone, bezformne, ciężkie i ogromne, jak pierzyna. Ludzie gramolili się pod niem jak chrabąszcze na rękach i nogach w tej ciepłej wilgoci, obwąchujące czułemi różkami słodką glinę. Świat leżał

głuchy, rozwijał się i rósł gdzieś w górze, gdzieś z tyłu i w głębi, błogo bezsilny i płynął.

Chwilami zwalniał i przypominał coś mglisto, gałęził się drzewami, oczkował gęstą szarą siatką ćwierkania ptasiego, narzuconą na ten dzień szary i szedł w głąb w węzowanie podziemne korzeni, w ślepe pulsowanie robaków i gąsienic i rósł tem wszystkim, bez miary.

A pod tym bezforemnym ogromem kucali ludzie ogłuszeni i bez myśli w głowie, kucali z głowami w rękach, wisieli zgarbieni na ławkach parków z płatkami gazety na kolanach, z której tekst spływał w wielką szarą bezmyślność dnia, wisieli niezgrabnie w pozie jeszcze wczorajszej i ślinili się bezwiednie. Może ogłuszały ich te gęste grzechotki ćwierkania, te niestrudzone makówki, sypiące szary śrót, którym ćmiło się powietrze. Chodzili pod tym gradem ołowianym i rozmawiali na migi w tej ulewie rzęsistej lub zrezygnowani milczeli.

Ale gdy około jedenastej godziny gdzieś w jakimś punkcie przestrzeni przez wielkie spęczniałe ciało chmur wykuło się słońce bladym kielkiem, wtedy nagle w gałęzistych koszach drzew zaświeciły gęsto wszystkie pączki i szary welon ćwierkania oddzielił się powoli blado-złocistą siatką, z twarzy dnia, który otworzył oczy. I to była wiosna.

Wtedy nagle w jednej chwili pusta przed chwilą aleja parku jest zasiana ludźmi śpieszącymi w różne strony, jakby była ona punktem węzłowym wszystkich tlic miasta i zakwita strojami kobiet. Jedne z tych prędkich zgrabnych dziewcząt śpieszą do pracy, do sklepów, inne na schadzki, ale przez chwilę parę, podczas których przechodzą przez ażurowy kosz alei, dyszący wilgocią kwieciarni i nakrapiany trelami ptaków — należą do tej alei, do tej godziny, są, nie wiedząc o tem, statystkami tej sceny w teatrze wiosny, jakgdyby zrodziły się z deptaku razem z delikatnymi cieniami gałęzek i listków, pączkującymi w oczach na ciemnozłotem tle wilgotnego żwiru, biegną parę złotych, kosztownych pulsów, a potem nagle zbledną, rozprószą się, przepadną, wsiąkną w piasek, jak te filigrany przeźroczych cieni, gdy słońce wejdzie w zamyślenie obłoków. Ale na tę jedną chwilę zaroili aleję swym świeżym pośpiechem i z szelestu ich bielizny zdaje się płynąć ten bezimienny zapach alei. Ach, te przewiewne, świeże od mydła koszulki, prowadzone na spacer pod filigranowym cieniem wiosennego korytarza, koszulki z plamami mokremi pod pachą, schnące we fiołkowych powiewach dali. Ach, te młode, rytmiczne, zgrzane od ruchu nogi w nowych, skrzypiących jedwabiem pończoszkach, pod którymi kryją się czerwone plamy i pryszczki,

zdrowe wiosenne wypryski krwi gorącej. Ach, cały ten park jest teraz bezczelnie pryszczaty i wszystkie drzewa wysypują się pączkami pryszczy, które pękają ćwierkaniem. Potem aleja znowu pustoszeje, po sklepionym deptaku gędoli cicho drucianemi szprychami wózek dziecinny na smukłych resorach. W małym, lakierowanym czółenku pogrążone w grządkę wysokich krochmalonych szlar z batystu śpi, jak w bukiecie kwiatów delikatne i różowe dziecko. Dziewczyna, prowadząca powoli wózek, nachyliła się czasem nad niem, przeważa na tylne koła, kwiląc osiami obręczy, ten bujający koszyk rozkwitły białym muślinem i rozdmuchuje pieśczośliwie ten bukiet aż do słodkiego śpiącego jądra, przez którego sen wędruje jak bajka ten przepływ obłoków i światła. Potem w południe wciąż jeszcze plecie się ten pączkujący wirydarz światłem i cieniem, a przez delikatne oka tej siatki sypie się bez końca jak przez drucianą klatkę, świergot ptaszków z gałązki na gałązkę, ale kobiety przechodzące brzegiem deptaku są już zmęczone i mają włosy rozluźnione od migreny i twarze znękane wiosną, a potem już całkiem pustoszeje aleja, a przez ciszę przedpołudnia przechodzi powoli zapach restauracji z pawilonu parkowego.

BRUNO SCHULZ

Z CIASNEGO PODWÓRKA

Zacząło się to już dość dawno. Jeden artykuł zamącił błogą ciszę uśpionych obrońców tradycji. Posypały się repliki, nowe ataki, pewien czcigodny profesor ex cathedra wygłosił dowcipnie złośliwą odpowiedź na niemniej złośliwy artykuł, pewne koło studenckie uchwaliło rezolucję do ministerstwa i powoli, powoli wróciło wszystko do dawnego stanu. Jeszcze od czasu do czasu obijają się w codziennej prasie samotne głosy, dalekie echa strzałów po skończonej batalji. I znów zasypiamy.

Znów sprawa reformy studjów polonistycznych odwleka się „ad infinitum“. Bo niestety, przedmiotem tego sporu są właśnie studja polonistyczne na uniwersytecie, studja, które pośród wszystkich innych nauk humanistycznych winny stać u nas na możliwie najwyższym poziomie, muszą być aż przedmiotem dyskusji, która zresztą jak dotąd nie dała pozytywnego rezultatu. Zapół dyskutantów minął czyto z braku wérwy, czy też z braku tematu i wszystko zostało po staremu.

Nie będę tutaj poruszał argumentów obu wojujących stron. Nie uważam się za kompetentnego do rozsądzenia tego, czy np. znajomość historycznego rozwoju dyftongu „Oj“ jest niezbędna dla wykształcenia przeciętnego studenta, studjującego historję